



W imię miłości

Opowieść o wielkim uczuciu
w najtrudniejszych chwilach

Amy Bloom

FILIA

Amy Bloom

**W imię
miłości**

Przełożyła
Ewa Ratajczyk

FILIA

Z wyjątkiem członków rodziny, T. Wayne'a Downeya,
M.D., Susie Chang i Judith Schwartz wszystkim
osobom w tej książce nadałam pseudonimy.

Dla Briana

„Napisz o tym” – poprosił mój mąż.

CZĘŚĆ I

Niedziela, 26 stycznia 2020, Zurych

Nasza wyprawa do Zurychu jest nową, niezwykłą wersją tego, co Brian i ja uwielbiamy: podróżowania. Wypadki samochodowe, przeprawy promem, podróże samolotem w rozmaite miejsca. Uwielbiamy wszelkie eskapady, lubimy chodzić po sklepach. Wyjazd do Zurychu jest podobny do wcześniejszych wycieczek, a jednak diametralnie różni się od wszystkiego, co do tej pory robiliśmy. Na lotnisko jak zwykle zawozi nas wynajęty kierowca, dla wygody, a także po to, żeby uniknąć poszukiwania miejsca parkingowego i taszczenia bagaży – jeszcze zanim Brian zachorował na alzheimera, typowy dla nas obojga brak orientacji w terenie sprawiał, że na miejsce szliśmy zawsze dwadzieścia minut dłużej, niż powinniśmy. Przed wylotem, o osiemnastej, jemy kolację w restauracji. Kupuję szminkę i małą tubkę kremu do rąk, a Brian cukierki. Zaopatrujemy się też w paczkę gum i butelkę wody, jedną na nas dwoje.

W samolocie z przyjemnością zajmujemy miejsca. Cieszymy się wyjątkową uprzejmością stewardes, które zdążyły nas polubić dlatego, że Brian, świadomy swojej postury, uważa, by nie wsadzić ręki do cudzego napoju, a każdemu pracownikowi Swissair okazuje wdzięczność. Wyglądamy na ludzi, którzy nie będą o północy głośno domagać się kolejnego kieliszka alkoholu czy orzeszków. Klasę biznesową najbardziej doceniają ci, którzy zawsze latają ekonomiczną.

Uśmiechamy się od chwili wejścia na pokład. Odpowiednio ustawiam nasze wygodne fotele, jesteśmy bardzo grzeczni dla personelu. Widać, że się lubimy i że z przyjemnością razem podróżujemy. Jak tylko dostajemy napoje (w kieliszkach!), wznosimy toast za moją siostrę i jej męża, którzy opłacili nam podróż klasą biznesową.

Siedziba Dignitas znajduje się w Zurychu i właśnie tam się udajemy. Szwajcarska organizacja non profit oferuje usługi wspomaganego samobójstwa i od dwudziestu dwóch lat jest jedynym miejscem, gdzie może zakończyć życie śmiertelnie chory amerykański obywatel, który nie dysponuje zaświadczeniem, że pozostało mu nie więcej niż sześć miesięcy życia. Wymóg posiadania takiej prognozy obowiązuje obecnie w USA, nawet w tych dziewięciu stanach, które uznają prawo do śmierci, wraz z Dystryktem Kolumbii, choć wielu

starszym czy przewlekle chorym Amerykanom wydaje się, że mogliby w jednym z nich zakończyć życie. Na prośbę Briana zorientowałam się w sytuacji i okazało się, że jedynym miejscem na świecie zapewniającym bezbolesne, spokojne i legalne samobójstwo jest Dignitas na przedmieściach Zurychu.

Moja siostra płakała ze mną od czasu drugiej wizyty u neurologa, kiedy w ciągu niecałej godziny lekarzka przeprowadziła badanie stanu umysłowego Briana i poinformowała nas, że mój mąż niemal na pewno cierpi na alzheimera, i to prawdopodobnie już od paru lat, sądząc po jego wysokim IQ, problemach z utrzymaniem równowagi i ze zmysłem kinestetycznym. Brian potrzebował niecałego tygodnia, żeby dojść do wniosku, że „długie pożegnanie”, które miałyby się odbyć na warunkach choroby, jest nie dla niego, a ja potrzebowałam niecałego tygodnia, żeby znaleźć Dignitas, do której zaprowadziło mnie w końcu długie błądzenie po ścieżkach Google’a. Od lata do zimy moja siostra Ellen, która kocha mnie i kochała Briana, ze wszystkich sił powstrzymywała się od udzielania rad, gdybania czy wspomniania o tym, że być może w przypadku Briana alzheimer okaże się łaskawszy albo będzie postępował bardzo powoli, starała się nie płakać, kiedy ja

nie płakałam, i nie wylewać własnego żalu z powodu utraty jednej z najbliższych osób oraz końca naszej czteroosobowej paczki. (Kiedy poznali się czternaście lat wcześniej, Brian wszedł do kuchni Ellen i w typowy dla siebie ujmujący sposób oznajmił: „Kocham twoją siostrę”. Ellen się nie odwróciła. „Jeśli ją skrzywdzisz, to cię zabiję” – odparła). Wpadła do mnie wczesnym rankiem w pewien grudniowy dzień, gdy mieliśmy już niemal pewność, że pokonaliśmy przeszkody na drodze do Dignitas. „Powiedz, czego potrzebujesz” – odezwała się. „Dwudziestu tysięcy dolarów” – odparłam skrzepowana. Wręczyła mi czek na trzydzieści. Wydaliśmy je co do centa – na kilka ostatnich wypraw wędkarskich Briana, na utrzymanie, ponieważ on przestał pracować i ja również nie pracowałam, i na częste posiłki poza domem, w najładniejszych restauracjach New Haven. Wydaliśmy je też na naszą ostatnią wspólną imprezę urodzinową i na cztery noce w pięciogwiazdkowym hotelu w Szwajcarii, a także na taksówki, wycieczki po Zurychu i na bilet dla mojej przyjaciółki, która przyleciała, by towarzyszyć mi w drodze powrotnej do domu. Krótko mówiąc: na wszystko to, dzięki czemu smutne miesiące stały się łatwiejsze do zniesienia, oraz na wydatki związane z Dignitas (w sumie około dziesięciu tysięcy dolarów).

Siedząc w fotelach na pokładzie samolotu Swissair, dość niepewnie wznosimy toast słowami „za ciebie” zamiast jak zwykle *Cent’anni* (typowo włoskim: sto lat). Nie mamy przed sobą „stu lat”; nie doczekamy trzynastej rocznicy ślubu.

Pochylamy się do siebie na chwilę, a później każde zajmuje się swoimi butami i bagażem, otwiera torebki z drobiazgami oferowanymi przez linię lotniczą, wyciąga skarpetki (owszem), maski na oczy (nigdy), miniaturowe pasty do zębów i maleńkie szczoteczki – uparcie wierzymy, że ucieszą nasze wnuki, ale jakoś nigdy nie robią na nich wrażenia.

Właściwie wszystko wydaje się normalne, przypomina nasze podróże z ostatnich lat, zarówno lot, jak i całe przygotowania: droga na lotnisko, kontrola bezpieczeństwa (i nasza małostkowa satysfakcja ze skorzystania z programu TSA PreCheck na widok o wiele dłuższych kolejek po lewej stronie do stanowisk, gdzie trzeba ściągać buty), całkiem smaczny posiłek na JFK. Wszystko wydaje się normalne, ale pamiętam, jak inne były wspólne chwile z Brianem trzy lata temu, wtedy nie wstrzymywałam oddechu od chwili, gdy ruszał w stronę stojaka z gazetami, dopóki nie wrócił. Z pozoru, a może nawet w rzeczywistości (jeśli nie wspominam, jak nasze życie wyglądało kiedyś) jest prawie normalnie.

Tym razem nie skorzystaliśmy z usług Arnolda, który zawsze zawoził nas naszym autem na lotnisko i odstawiał samochód przed dom. Woził nas, nasze dzieci i wnuki przez sześć lat, po drodze opowiadając o swojej fascynacji motocyklami, o trwaniu w trzeźwości i problemach zdrowotnych żony, zdaje mi się, że robił to w ramach rewanżu za wszystkie informacje o nas, które chcąc nie chcąc dostał. Nie mogłam znieść myśli, że miałabym okłamać go na temat celu naszej podróży, nie byłam jednak w stanie wyobrazić sobie, że miałabym powiedzieć mu prawdę, a półprawdy (która jest ulubioną techniką prawdziwych kłamców) wyjaśniającej, po co jedziemy do Zurychu pod koniec stycznia, wymyślić nie potrafiłam. Na narty? Łowić ryby w przeręblu? Podziwiać witraże Chagalla w kościele Fraumünster? Bałam się, że Arnold będzie ze współczuciem zerkał na nasze odbicia w lusterku wstecznym, a tego bym nie zniosła ze względu na godność Briana i z powodu mojej tkliwości. Nie cierpię obcesowości, ale chyba równie trudno byłoby mi znieść litość. Pragnęłam jedynie płaszcza obojętności i właśnie ją zapewnił nam kierowca miejscowej firmy świadczącej usługi przewozowe. Podczas dwupółgodzinnej podróży odezwał się raz. Idealnie.

Na lotnisku JFK stanęliśmy na środku terminala 4 i wspólnie wybraliśmy restaurację, przyzwoitszą niż

Shake Shack (ja ją uwielbiam, Brian wręcz przeciwnie), ale nie tak dobrą jak serwująca steki Palm, która wydaje się niedorzecznie droga, jednak gdy to piszę, przypominam sobie, że ostatecznie poszliśmy do Palm, bo... wiadomo. Brian zamówił wszystko, co chciał – miałam wrażenie, że wszystko, co serwuje restauracja Palm na JFK z wyjątkiem wódki z lodem, na którą, jak wspominał, przez ostatni rok miewał od czasu do czasu ochotę.

Dostał więc krążki cebulowe i krwisty stek z antrykotu z pieczonymi ziemniakami i sałatką Cezar oraz pieczywo czosnkowe. Zamówiłby jeszcze koktajl z krewetek, gdyby nie to, że niczym żydowska żona z lat pięćdziesiątych, w którą najwyraźniej się zamieniłam – brakowało mi jedynie domowej trwałej na głowie i fartuszka obszytego koronką – wyszeptalam: „Serio? Krewetki w lotniskowej restauracji ze stekami?”. Brian wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: W sumie nie mam wielkiej ochoty na lotniskowe krewetki, ale właściwie co takiego mogłoby się stać? Spróbowałbym i gdyby były niejadliwe, zostawiłbym. Strata pieniędzy? I co z tego? Gdybym nawet umarł po zjedzeniu zepsutej krewetki, oszczędziłoby nam to wielu problemów. Mogłoby się też zdarzyć, że z powodu zatrucia

JEDNA Z NAJLEPSZYCH KSIĄŻEK ROKU
wg „Publishers Weekly”, „The New York Times Book
Review”, „Time”, „Entertainment Weekly”, „The
Washington Post”, „The Boston Globe”, „USA Today”,
„Kirkus Reviews”

Amy Bloom zaczęła zauważać zmiany w zachowaniu swojego
męża, Briana: odsunął się od przyjaciół, rozmawiał głównie
o przeszłości, skończyły się wspólne, długie spacery.
W końcu usłyszeli diagnozę: Brian cierpiał na chorobę
Alzheimera.

Zmuszony do konfrontacji z brutalną chorobą, Brian doszedł
do wniosku, że chce umrzeć z godnością. Razem z żoną
podjęli niewyobrażalnie trudną i bolesną decyzję. Zwrócili się
do Dignitas, organizacji z siedzibą w Szwajcarii, która oferuje
możliwość godnego i spokojnego zakończenia życia.

W przejmującej i zaskakującej opowieści Amy Bloom rzuca
światło na część życia, o której tak często nie chcemy
rozmawiać – o jego zakończeniu.

**Ta poruszająca, ale i napisana z humorem i rozbijającą
szczerością książka, jest niezapomnianym obrazem
pięknego małżeństwa i bezgranicznej miłości.**

**RZADKO KIEDY ZAPISKI NA TEMAT ŚMIERCI SĄ TAK
PEŁNE ŻYCIA.**

„USA Today”

FILIOTEKA.PL

cena 49,90 zł

wydawnictwofilii.pl



FILIA

NA FAKTACH

ISBN 978-83-8280-869-8



9 788382 808698